Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena numeru 30 gr

MARKOWA — CZERWIEC 1939

kobieta WIEJSKA

NR 3 WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU ROK 1



VLASTIMIL HOFFMAN

Gdy Najświętsza Panienka po świecie chodziła,
swojego Synocka za rąckę wodziła...

(ze starych pieśni)

Budujmy sanatoria chłopskie

Źle jest ze zdrowiem chłopów w Polsce.

Niedożywianie, marne warunki mieszkaniowe, brak uświadomienia, są przyczyną chorób, które gnębią wieś.

Ale największe żniwo śmierci zbiera rokrocznie **gruźlica.** Są okolice, gdzie ilość gruźlików dochodzi do 40%, a na 100 dzieci 50 — 70 wykazuje zakażenie gruźlicą.

Na słowa „chory na suchoty" lęk ogarnia każdego, lęk i bezradność. Bo człowieka takiego uważa się za skazanego zgóry na śmierć.

Z boleścią patrzy żona, matka, w oczy swych najbliższych, naznaczonych tą straszną chorobą. A ileż matek i ojców w kwiecie wieku osierasa swe dzieci. Dziesiątki tysięcy tragedii rozgrywa się corocznie pod dachami chłopskich chałup.

Gruźlica to choroba społeczna, gdyż kryje w sobie niebezpieczeństwo dla przyszłości chłopów i całego narodu, powodując osłabienie jego sił i zwyrodnienie. Nawet człowiek zdrowy, ale pochodzący z rodziny gruźliczej, jest słaby fizycznie i bardziej skłonny do zachorowań.

Musimy wypowiedzieć walkę gruźlicy. Walka ta musi być prowadzona na kilku frontach równocześnie

Trzeba szerzyć uświadomienie, jak chronić swoje zdrowie; jak żyć, aby nie zachorować; jak ma postępować członek chory, aby nie zarażał swego otoczenia.

Wypracowywać i walczyć o poprawę bytowania mas chłopskich. Także często spotyka się w przychodni lekarskiej chorych, którym lekarz każe się dobrze odżywiać, pić dużo mleka, jeść mięso, masło itp. A tu pół morga pola, niema krowy, ale zato jest kilkoro ludzi w jednej ciasnej izbie.

Dlatego sprawa reform gospodarczych, a szczególnie **reformy rolnej** jest paląca.

Gruźlica jest chorobą zaraźliwą. Ważne jest, aby żywe ogniska zarazy, jakimi są chorzy wypluwający przy kaszlu miliony zarazków, oddzielić od zdrowych. Także częste są przypadki, że chory ojciec lub matka, zdawna niewinnie kaszlący dziadek lub babka, nie zachowujący żadnych środków ostrożności, przeważnie nieświadomi niebezpieczeństwa swej choroby, są źródłem zakażenia całej rodziny.

Źle jest.

Ale skąd brać na leczenie Gruźlica to choroba kosztowna, leczyć ją trzeba długo, a na wsi tak ciężko o każdy grosz. Więc się czeka. Dopiero kiedy choroba tak się rozwinie, że chory zupełnie z sił opadnie i robić już nie może, szuka się ratunku u lekarzy. Trzeba jechać do sanatorium, gdzie koszt wynosi 7—10 zł. dziennie. Nieliczni mogą sobie na to pozwolić, większość olbrzymia z rezygnacją przyjmuje wyrok nieubłaganego losu.

W miejscowościach o wybitnych warunkach zdrowotnych, jak góry, lasy, pobudowano liczne sanatoria dla gruźlików. Korzystać z nich mogą tylko ludzie bogaci albo ubezpieczeni w kasach chorych.

Niektóre organizacje zawodowe, aby udostępnić swoim członkom tanie leczenie, pobudowały swoje własne sanatoria. Pobudował sanatorium Związek Nauczycielstwa Polskiego, liczący około 60 tysięcy członków, zbudowały swoje sanatoria wojsko, policja, kolejarze itd.

Nie mają tylko swoich sanatoriów chłopi, choć chłopów jest w Polsce najwięcej. Istnieją wprawdzie sanatoria prywatne, ale te dla nas za drogie. Dlatego też mimo, że na wsi jest tysiące potrzebujących leczenia sanatoryjnego, w sanatoriach ich nie ujrzycie.

Czemu nie przyjdzie nam z pomocą państwo, przecież płacimy podatki? Cóż kiedy państwo ma tyle różnorakich potrzeb, że nie jest w stanie dziś i w najbliższej przyszłości zapewnić wsi opieki sanatoryjnej.

Rozwiązanie tej potrzeby musi wieś wziąć na swoje barki.

Pobudowaliśmy już własnymi siłami tysiące kościołów, szkół, domów ludowych, mleczarni, zaczynamy budować swoje chłopskie uniwersytety, spółdzielnie zdrowia itp. Coraz więcej potrzeb uczymy się zaspakajać wspólnie, zbiorowym wysiłkiem.

Jeśli jedna parafia może wystawić kościół za kilkaset tysięcy zł., jedna gromada wybuduje szkołę czy dom społeczny, — muszą chłopi zdobyć się na to, aby pobudować sobie swoje chłopskie sanatoria.

Wieś wydaje na leczenie gruźlicy kilka milionów zł. rocznie, a mogłaby je wydać bardziej skutecznie i celowo, lecząc się w swoich sanatoriach przystosowanych do możliwości finansowych chłopa.

Sanatoria te byłyby pomyślane jako domy pracy, oczywiście pracy, która choremu nie zaszkodzi, pracy lekkiej dawkowanej przez specjalistę lekarza. Ogrodnictwo, zabawkarstwo, koszykarstwo, opiekę budowli i t. p. urozmaica chorym pobyt, że nie będą tak dotkliwie odczuwać swej choroby, a jednocześnie dając pewien dochód i pozwolą na obniżenie kosztów utrzymania.

Jakie są możliwości realizacji tego projektu? Mamy dziś w Polsce:

Gromad wiejskich około	40.000
Gmin wiejskich	3.120
Rad Powiatowych	240
Różnych spółdz. około	18.000
Organizacji oświat. i kult	50.000

Razem przeszło 100 tysięcy organizacyj wiejskich, mogących dać większe lub mniejsze udziały na budowę. Przypuśćmy, że każda z nich da tylko 10 zł. rocznie, to zbierze się suma 1 miliona w ciągu roku. W ciągu 10 lat możnaby wystawić kilka sanatoriów w różnych okolicach kraju. Pewnie, że wiele organizacyj tej kwoty nie wpłaci, ale zato różne spółdzielnie, rady gminne i powiatowe mogą bez uszczerbku dla swoich budżetów sumę tę zwielokrotnić. Gdyby np. tylko rady powiatowe dały po 1000 zł. byłoby już ćwierć miliona zł. Tak samo wiele zamożnych spółdzielni, które przeznaczają tysiące zł. na cele kulturalno oświatowe, może ofiarować na ten cel większe kwoty.

Wprawdzie skromny jest ten projekt i skromne fundusze w porównaniu z potrzebami wsi i budżetem Państwa, skromny, ale zato realny.

Zacznijmy o tym radzić.

Najwięcej boleje, najmocniej odczuwa stratę czy ciężką chorobę swoich ukochanych kobieta. To też my szczególnie musimy wziąć sobie tę sprawę do serca i gorąco ją poprzeć. Tutaj widzimy jak kobieta koniecznie potrzebna jest w samorządzie, organizacjach społecznych i spółdzielczych, poprzez które wywarłaby wpływ na mężczyzn. Dla niektórych rzucony tu projekt wyda się niemożliwy do zrealizowania, jesteśmy na ten zarzut przygotowane. Ale warunki w jakich znajduje się dziś wieś i Polska takie tylko wskazują nam rozwiązanie.

Nie czas dziś czekać i narzekać.

Chłopi w Polsce są już na tyle dojrzali, aby zrozumieli, że zdrowie ich rodzin jest największym bogactwem. To też tę piekącą sprawę, która krzyczy, woła wielkim głosem, powinni poprzeć wszyscy bez względu na przekonania polityczne.

WOJCIECH JANCZAK

Gdańsk sprawą światową

Przed miesiącem pisaliśmy na tym miejscu o rozwoju wypadków międzynarodowych, które w błyskawicznym tempie prowadziły nas nieuchronnie w odmęty krwawej katastrofy. Pisaliśmy, że gwałty państw tzw. „faszystowskich", a zwłaszcza Niemiec, dosięgały coraz to innych ziem i narodów. Mówiliśmy także, że zaborczość niemiecka sięgnęła wreszcie po Gdańsk i tutaj oparła się o zdecydowaną postawę narodu polskiego. Od tej chwili oczy całego świata skierowały się na to miasto i z najwyższym napięciem patrzą na rozgrywające się tam wypadki. Wróg bowiem, który do tej pory szedł i zdobywał, brał w niewolę bez wystrzału i ujarzmiał, tutaj napotkał na zdecydowany opór, nie skłonny do najmniejszych ustępstw. Musi więc zachłanność niemiecka odejść z pod Gdańska z kwitkiem, albo też zdecyduje się na światową pożogę wojenną. Trzeciego bowiem wyjścia niema. Nic więc dziwnego, że sprawa Gdańska stała się dziś sprawą światową. Stąd bowiem przyjdzie albo uczucie ulgi, że burza minęła, albo padnie iskra na nagromadzone hen! po świecie prochy.

Dlaczego Gdańsk stał się tak ważny? Gdańsk jest dziś dużym miastem portowym, położonym u wybrzeży morza Bałtyckiego, w miejscu gdzie Wisła wpada do morza. Miasto to jest bardzo stare i należy do najstarszych miast polskich. Dzięki swojemu położeniu u ujścia Wisły dość już wcześnie rozwinął się Gdańsk na duże miasto portowe i ognisko międzynarodowego handlu. Przez Gdańsk i Wisłę szło w dawnych czasach zboże z Polski do innych krajów europejskich. Przez Gdańsk przychodziły do nas zagraniczne towary. Gdańsk był więc naszym wyjściem na świat, na szerokie morza i lądy. Jednocześnie Gdańszczanie na handlu zagranicznym Polski z innymi krajami ogromnie się bogacili. Pobudowano wspaniałe kościoły, pałace i t. p. Łatwość szybkiego zrobienia majątku ściągała do Gdańska masy ludzi, zwłaszcza kupców i przemysłowców niemieckich.

Ponadto wpływy niemieckie zaczęły w Gdańsku się rozszerzać od chwili, kiedy za plecami Gdańska na ziemiach tak zwanych Prus wschodnich osiedlił się zakon niemiecki — Krzyżaków. W 1308 roku Krzyżacy zajęli Gdańsk. Od 1466 — 1793 roku Gdańsk należał znów do Polski i na te lata przypada największy jego rozkwit i wierna służba Polsce. Z chwilą, gdy Polska uległa rozbiorom Gdańsk znalazł się w granicach państwa pruskiego.

Po wojnie światowej w 1919 roku, Gdańsk został odłączony od Niemiec i stworzono zeń tak zwane „wolne miasto" pod opieką Polski i Ligi Narodów. Polsce, na mocy traktatu wersalskiego z 1919 roku, zostały przyznane w Gdańsku daleko idące uprawnienia i przywileje.

Między innymi Polska otrzymała wszystkie sprawy celne w Gdańsku, zarząd wszystkimi kolejami, prowadzenie wszystkich spraw zagranicznych Gdańska, połowę miejsc w Radzie Portu, pocztę i t. p. Sprawami Polski na terenie Wolnego Miasta Gdańska zarządza Generalny Komisarz Rzeczypospolitej Polskiej. Z ramienia Ligi Narodów w Gdańsku urzęduje delegat, który się nazywa Wysokim Komisarzem Ligi Narodów. Od czasów jednak wojny światowej a zwłaszcza od chwili, gdy rządy w Gdańsku objęli hitlerowcy (1933 r.) czynił Gdańsk Polsce najrozmaitsze trudności, chcąc pozbyć się polskiej opieki. Podburzona przez agitatorów z Berlina ludność Gdańska zaczyna coraz śmielej występować przeciw Polsce. Te wypadki skłoniły między innymi Polskę do budowy czysto polskiego portu na Bałtyku t. j. Gdyni. Gdynia, mimo że jest dziś jednym z największych portów na Bałtyku, nie zmniejsza jednak wcale znaczenia Gdańska dla Polski i do dziś dnia połowa naszego handlu morskiego idzie przez Gdańsk.

Gdańsk, bowiem jako leżący u ujścia Wisły, stanowi naturalne zakończenie wielkiego szlaku handlowego jakim jest Wisła z dopływami. Bez Gdańska wartość Wisły, jako drogi komunikacyjnej byłaby bardzo mała. Z drugiej strony, usadowienie się kogoś obcego w Gdańsku sparaliżowałoby nam w ogóle wyjście na morze, utrudniłoby nam handel a tym samym pozbawiło nas wszelkich możliwości rozwojowych i tych ogromnych korzyści, jakie płyną z morza. Gdańsk ma więc dla nas pierwszorzędne znaczenie i jest poprostu sprawą życia i śmierci dla nas wszystkich.

Nic więc dziwnego, że gdy Niemcy zażądali oddania im Gdańska spotkali się z kategoryczną odmową i ze zdecydowaną postawą całego społeczeństwa polskiego.

Hitler zażądał Gdańska nie dlatego, żeby mu był potrzebny. Niemcy mają dosyć swoich wielkich portów, które już dziś nie mają co robić. Nie zażądał także dlatego, że mu chodziło o los „biednych Niemców gdańskich". Przez odebranie nam Gdańska chciały Niemcy nas pozbawić wyjścia na morze, a w ten sposób osłabić, aby potem „bez wystrzału" owładnąć całą Polską i poddać ją pod swoją komendę. Takie są cele polityki niemieckiej. Zawiedli się jednak grubo.

My rozumiemy doskonale czem jest dla nas Gdańsk, a z nami razem rozumieją tak samo wielkie i potężne mocarstwa zachodnie jak Francja, i Anglia, które oświadczyły, że napad na Gdańsk uważać będą za napad na Polskę i pospieszą nam z pomocą.

Wściekli hitlerowcy, że im się nie udało za jednym zamachem, organizują dziś w Gdańsku różnego rodzaju wystąpienia przeciw Polsce. Niema dnia, żeby nie urządzili napadu na jakiś polski urząd, czy polską rodzinę. Chcą w ten sposób wyczerpać naszą cierpliwość i zmusić nas do kapitulacji. Zawiodą się bardzo.

My nie zwykliśmy oddawać co nasze i pokornie iść w niewolę, a Gdańsk „miasto niegdyś nasze znowu będzie nasze".

Komitet Redakcyjny naszego pisma:

Balalowa Katarzyna, Bujowa Anna, Ciekotowa Hanna, Ciekot Władysław, Ciota Józef, Gadzelanka Anna, Chorążowa Hanna, Flejszar Mieczysław, Jędrzejcówna Maria, Janczak Wojciech, Kojdrowa Aurelia, Maniakówna Maria, Marcinkowski Józef, Mleczko Franciszek, Niemczakowa Maria, Osiejowa Genowefa, Stefanowiczówna Aniela, Solarzowa Zofia, Solarz Ignacy, Świetlikówna Helena, Świetlik Piotr, Świrska Weronika, Szyllarowa Józefa, Szpunarowa Anna, Walczakówna Katarzyna, Załęska Zofia.

Lista członków Komitetu nie jest zamknięta i niektóre tereny będą jeszcze mogły wprowadzić swoich przedstawicieli.

K. ŚWIĄTEK-BALALOWA

Pragniemy wyjść z „zapiecka"

W majowym numerze „Kobiety Wiejskiej" p. Świetlik, znany działacz społeczny, napisał bardzo ciekawy i na czasie artykuł: „Rola społeczna kobiet wiejskich". Nad tym artykułem każda z nas powinna się dobrze zastanowić, ale jeszcze więcej winien on pobudzić mężczyzn do poddania krytycznej ocenie ich stosunku do kobiety.

P. Świetlik dobrze zna i rozumie ciężkie życie kobiety wiejskiej i rad by ją dźwignąć z nizin na których od tysiącleci bytuje.

Pragnałby ją widzieć przy przebudowie dzisiejszej wsi ręka w rękę ze swym mężem, bratem, czy sąsiadem, by wywierała wpływ na sprawy samorządowe, gospodarcze, wychowawczo-oświatowe, spółdzielczość i t. d., bo przez to pomnoży dobrobyt i szczęście nietylko w swojej rodzinie, ale i w gromadzie.

Racja, tak być powinno od dawna, ale niestety nie jest i nie tak prędko będzie! A któż temu winien? Mężczyźni winni. Zdaje mi się, że będę wyrazem ogromnej większości kobiet wiejskich, jeżeli otwarcie napisze, co my i jak o tym wszystkim myślimy. Zastrzegam sie jednak, że nie mam zamiaru prowadzić na ten temat jakiejś złośliwej polemiki*, nie mam chęci dokuczenia mężczyznom, bo uważam sprawę udziału kobiet w życiu wsi i Polski za zbyt poważną.

Każdy światlejszy człowiek dobrze wie, że wieś polska pogrążona była w ciemnocie przez całe stulecia, srodze uciskana przez szlachtę, zapomniana i dopiero przed kilkudziesieciu laty ruch ludowy obudził ją do człowieczego życia.

Ale podczas kiedy mężczyźni uświadamiali się, czytali gazety, tworzyli i należeli do różnych organizacyj, brali udział w życiu społecznym gospodarczym i politycznym, kobieta wiejska, ich żona, matka, siostra, została poza tym ruchem wyzwoleńczym. Nie doceniono jej znaczenia w dziejach przełomowych wsi. Została za „zapieckiem" i tkwi tam do dzisiaj, bo właśnie sami mężczyźni nieświadomie zagrodzili jej drogę do szerszego świata do współpracy w gromadzie.

Zepchnięta do roli popychadła, wykonuje zazwyczaj nawet najcięższe roboty za męża, który zawsze ją uważa za niższy umysłowo twór Boży, traktuje ją brutalnie, a często gęsto burknie lekceważąco: „Ej! co tam takie babskie gadanie, do niczego ta babska robota i babskie rządy, warkocz długi, rozum krótki" — i kroby tam zresztą zliczył te kaśliwe przygryzki. Otóż takie trakowanie kobiety jekt niesłychanie krzywdzące i niesprawiedliwe. Mężczyźni, którzy wcześniej wydobyli się z wiekowego poniżenia, powinni wychowywać swoje żony, córki i siostry do życia społecznego nie kpinami i szyderstwem, ale oceniać ich zdolności i zalety człowiecze, wciągać je do samorządu gminnego, Kółek Rolniczych, spółdzielni, czytelni, podsuwać im do czytania gazety ludowe, dobre przystępne książki, rozmawiać często z nimi o tym co dzieje sie w Polsce i na świecie, brać je na różne zebrania i zjazdy, by je ośmielić i zaznajomić z przejawami życia organizacyjnego ludowego.

Chłopi we własnym dobrze zrozumianym interesie powinni domagać się od władz zakładana w każdym powiecie szkół gospodarstwa kobiecego i posyłać swe żony czy córki do Uniwersytetów ludowych lub na różne kursy gospodarstwa kobiecego, które im dużo korzyści przyniosą. Ambicją bowiem każdego powinna być światła kobieta, wzorowa gospodyni, jak to jest u innych narodów zwłaszcza w krajach zachodnich.

Przecież mamy naprawdę dużo zdolnych i bystrych kobiet, które są doskonałymi matkami, gospodyniami które potrafią zastąpić męskie ręce w każdej pracy, więc zapewne ich myśl, dorada czy czyn w sprawach społecznych nie będzie głupstwem. W Polsce kobiety mają prawo głosowania do rad gminnych, a gdzież je widzimy radnymi? Listy wyborcze układają jedynie mężczyźni więc dlaczego nie postawia na nich kobiet, ale strzegą zazdrośnie, by się żadna niewiasta do rady gminnej nie dostała, tylko na siebie każą nam głosować? W r. 1937 w takim mądrym kraju jak Anglia, czternaście kobiet zostało burmistrzami większych i mniejszych miast, a nawet miasto Sheffield powierzyło także stanowisko **nadburmistrzą** kobiecie mrs. Longdon i nie uważało tego a uchybe! Wprawdzie i u nas w Polsce zwłaszcza na Pomorzu są w niektórych wsiach kobiety radnymi nawet i sołtysami, ale to znikomość! Teraz w Polsce odbywaja się wybory gminne po wsiach, niechajże mężczyźni naprawią swój stary ciężki błąd, wprowadzając kobiety do rad gminnych, celem ośmielenia i zaprawienia ich do życia gromadnego.

W miastach kobiety w Polsce prowadziły długie lata zaciętą walkę „ze światem męskim" nim nareszcie dopuszczone zostały do samorządu, na wszystkie urzędowe stanowiska, do organizacyj społecznych, różnych związków i stowarzyszeń a nawet do sejmu i senatu.

To też dzisiaj miasta i w ogóle warstwy inteligentne nareszcie już zrozumiały siłę moralną i wpływ kobiety na całość życia zbiorowego i ubiegają się gorliwie o jej współpracę, bo im jest z tym daleko lepiej niż chłopom, którzy kobietę zlekceważyli i odepchnęli od życia gromadzkiego.

Dziś czas najwyższy ten błąd naprawić. Podajcie nam kobietom rękę pomocną, uznajcie nas za równe sobie i postawcie godnie przy swym boku, byśmy z wami razem pracowały rzetelnie dla dobra wsi i Polski.

Nie pragniemy za Was rządzić, ale równe z równym podjąć razem ciężki trud wykuwania lepszego jutra.

Ruch kobiecy wiejski w Polsce jest dopiero w powijakach, podeprzyjcie go chłopi, pomóżcie mu zdrowo rozwijać się, by się nie skoszlawił, nim odrośnie od ziemi, a to łatwo by się stać mogło, z wielką szkodą dla sprawy ludowej.

Na wszystkich zjazdach, zebraniach, w gminie, między sobą, w domu, przekonywujcie, mówcie poważnie, uczciwie, a nawet piszcie do prasy ludowej o palącej potrzebie utorowania drogi kobietom do współpracy społecznej z Wami.

Bo ten „zapiecek", za który zawsze wpychano na wsi kobiety i dzieci, to wielka, jątrząca rana w naszych sercach — bardzo to boleśnie odczuwamy i pragniemy szybkiej zmiany.

Pomóżcie nam Bracia Chłopi!

*polemika — spór



Władysław Skoczylas — Święto wianków

UŁAS SAMCZUK (Wołyń)
Warszawa Rój, 1938

Co czytać

Ukazała się niedawno, w 1938 r. książka, która powinna się znaleźć w każdej bibliotece chłopskiej, czy to gminnej, czy kół młodzieży, bez względu na ich charakter polityczny. Mogą ją bowiem i powinni czytać wszyscy chłopi bez różnicy wieku i poglądów. Napisał ją chłop z pod Krzemieńca, Ułas Samczuk, a nazwał „Wołyń". bo odmalowane w niej zostało życie chłopów na Wołyniu. Ułas Samczuk jest Ukraińcem. Jako młody chłopiec, przedzierając się przez różne kordony, dostał się do Czech, gdzie zdobył wyższe wykształcenie. Tam też napisał i wydał swą książkę. Napisał ją w swoim ojczystym języku — po ukraińsku. Szybko oceniono wartość tego dzieła i książka została przetłumaczona w ciągu paru lat na języki: czeski, słowacki, niemiecki, duński, litewski, fiński, szwedzki. Na ostatku prawie ukazał się przekład polski. Należy się od nas szczera wdzięczność ludziom, którzy się do tego przyczynili i firmie, która dzieło wydała.

Co stanowi wartość tej książki? Tylko to, że mówi ona o życiu chłopskim po chłopsku — szczerze i z wielkim talentem. Autor ani razu nie mówi nam o tym, że był niezwykłym dzieckiem, że wyrósł na pisarza chłopskiego — chociaż cały czas maluje nam właśnie swoje dzieciństwo. Ale pod jego piórem jest to zwyczajne dzieciństwo każdego chłopskiego dziecka, od malutkiej maleńkości, kiedy to jeszcze ciągle powieki opadają, aż do chwil, w których zaczyna się budzić w główinie myśl szukająca po świecie odpowiedzi na różne pytania.

Całe dzieło jest właściwie powieścią o dziecku. Ale dziecko nie żyje samo. Obok niego żyje matka, a z nią i cała ciężka, trudna dola kobiety wiejskiej, jej troski, jej praca nad siły. Obok żyje ojciec ze swoją — od świtu do nocy — rolą, której jest zawsze mało, której można by gdzieś przy jakiejś parcelacji — jakże krwawo — dokupić, której nigdy nie chce starczyć jako tako dla wszystkich dzieci na przyszłość. Żyją ojciec i matka ze swoimi myślami, które tak samo jak u dziecka budzą się coraz bardziej i coraz wyraźniej ukazują sens chłopskiego bytu.

Obok dziecka wiejskiego żyje także cała wiejska przyroda — to, co nadaje właściwą wartość duszy i charakterowi chłopa, a piękno jego życiu.

Wszystko to — nie opisane, ale oddane w słowach prostych, jasno, zrozumiale, przystępnie dla każdego człowieka — po chłopsku. Trudno dziś zdobyć się na taką książkę nawet synom chłopkim. We wszystkich prawie książkach mówiących o wsi, czujemy jak by te szkiełka kultury szlachecko-mieszczańskiej, przez które patrzy się z wyższą na chłopa i jego świat. Wyjątki są ciągle jeszcze nieliczne. Trudno osądzić, co wpłynęło na to, że Ułas Samczuk właśnie tak swą powieść napisał — bez żadnych pretensji do wielkich tytułów i wielkiej kultury, a jednak stanął na szczycie tej kultury. Może na to wpłynęło to, że zaczął się kształcić słuchając prostych chłopskich opowiadań i dobrze sobie tę naukę zapamiętał; może to, że do kształcił się w demokratycznych Czechach, może wreszcie tylko to, że ma prawdziwy, wielki talent. Dzięki tamu talentowi książka Ułasa Samczuka p. t. „Wołyń" jest wielkim wydarzeniem dla umysłowego ruchu chłopskiego, jest najprawdziwszą opowieścią o życiu chłopa przedwojennego z kresów wschodnich. Nie ma w niej wyciągania na popis ciemnoty wiejskiej, lecz głębokie zrozumienie wartości życia wiejskiego i najszczersza, serdeczna, synowska miłość do wsi.

K. Walczakówna

STRYK z górki

Zjazd ważniejszy niż zwykle

Było nas chyba ze trzydziestu tego roku na tym 27-mym Zjeździe „Społem" w Warszawie z naszego rzeszowskiego okręgu, co obejmuje dziewięć powiatów. A w roku zeszłym ledwie się nas sześciu wybrało i to z bogatszych tylko Spółdzielni.

A i z innych okolic Polski chłopów zjechało się setnie, jak nigdy chyba dotąd na te same zjazdy spółdzielcze. Nie ino zresztą chłopów się zjechało tyle. Nie było takiej sali w Warszawie, żeby pomieścić zgłaszających się ponad tysiąc delegatów. Musiał więc Związek wynająć aż Wielki Teatr z czterema piętrami siedzeń, żeby pomieścić swoich i gości.

Wszyscy dobrze wiedzieli poco tak gromadnie się zjechali. Rozstrzygać się miało na Zjeździe, kto będzie miał największy wpływ na władze w Związku. Czy tylko spółdzielnie bogate i bliskie miejsca Zjazdu, czy też i spółdzielnie niebogate i dalekie od miasta zjazdowego. Mieliśmy zmienić przepis statutu o zjazdach.

Dotychczas każda spółdzielnia miała prawo wysłać swego delegata, ale naprawdę wysyłały ich spółdzielnie tylko bogate i bliższe Warszawy. Biedniejsze, mniejsze spółdzielnie i dalekie od stolicy, to znaczy chłopskie, nie miały pieniędzy na podróż delegata, więc nie wysyłały go i przez to traciły wpływ na gospodarkę i na zarządzanie całym Związkiem. Chcieliśmy więc teraz tak zmienić przepis, żeby te drobne spółdzielnie zebrane u siebie na zjeździe okręgowym wysłały wspólnie jednego delegata, któryby tanim kosztem zawiózł na zjazd główny do Warszawy wszystkie głosy tych drobnych spółdzielni całego okręgu, żeby w ten sposób te wiejskie spółdzielnie wydobyły się z pod przygniotu bogatych i miały tyle siły na zjeździe, ile ich naprawdę jest. Jest ich trzy ćwierci tych wiejskich spółdzielni w całym Związku i członków mają już połowę wszystkich członków Związku, a dotąd na zjazdach stanowili tylko dziesiątą część uczestników.

Nie mało kosztowało pracy i przekonywania, żeby jednako ode wsi chcieć, żeby duża liczba się zjechać, żeby wytrwać do końca zjazdu. Trza było wytrzymać atak przeciwników i go odeprzeć i nie zawahać się. Mówić chciało na Zjeździe w tej sprawie koło trzydziestu mówców, byłoby trza obradować do trzeciej rano. Jakoś jednak pół godziny przed północą w sobotę 3 czerwca b. r. rozstrzygnęliśmy głosowaniem tę sprawę bardzo ważną.

Sześćset głosów nie wytrzymało tak długich obrad, bo pewnie całą noc poprzednią na Zjazd jechali delegaci i wcześniej poszli spać. Byli to głównie delegaci wiejscy. Odeszli przed najważniejszą uchwałą, jaką mieli powziąć i na którą głównie przyjechali. Tak łatwo byliby zmarnowali wysiłek przyjazdu, gdyby pod ich nieobecność przepadła uchwała. Tak często ludzie nie wytrzymują w najważniejszem.

A tu jedna spółdzielnia wiejska przysłała z Polesia telegram: „nie mamy za co przyjechać, prosimy Zjazd o taką zmianę, żeby przecie nasze głosy kiedyś dostały się na zjazd". A delegat z wiejskiej spółdzielni z Wileńszczyzny wołał: „jestem tu pierwszy raz i napewno ostatni raz, bo nasze spółdzielnie nie mają za co wysyłać delegatów. Przyjechałem tylko dlatego, żeby pomóc przechylić wagę za zmianą statutu, żeby głosy

UŁAS SAMCZUK

WOŁYŃ

DOKĄD PŁYNIE RZECZKA?

Wołodko podchodzi kilka kroków dalej, gdzie „Trzy się wierzby pochyliły"... Wierzby stare, rozczochrane, sękate, zgarbione, jak baby stuletnie. A pod niemi wir...

Pełno tam listowia, wszelakiego śmiecia i piany, podobnej do wielkiego muchomora. Wołodko podchodzi, zakasuje nogawki po kolana i włazi na pochyłą wierzbę. Chwedot, spostrzegłszy to, porzuca ognisko, zapomina, że gniewa się na Wołodka i podchodzi do wierzb z wyrazem wielkiego zaciekawienia na twarzy. A tu Wołodko, (cholera, że też nic się nie boi), przykucnął na pniu i bez słowa patrzy w wirującą wodę. Siedzi i milczy. Patrzy w wzburzoną, już nie żółtawą a ciemną falę i dziwuje się. — I dlaczego to tak? Czemu to teraz już ryb nie ma? Dlaczego nie ma już łabędzi? Gdzie się podziały? Dlaczego rzeczka zmalała? Gdzie podziały się te oczerety i stawisko, łęgi z jeleniami i dzikiemi kaczkami? A co będzie dalej? Czuje Wołodko, że mu nogi w kolanach cierpną a wstać mu się nie chce. Wciąż chce mu się patrzeć, jak wiruje woda, jak biegają w niej linki i piskorze, jak pełzają raki. Chce się napatrzeć na tę wodę, bo kto wie. Może gdzieś stąd wszystka wycieknie. Dokąd ona tak cieknie?

— Chwedot! — woła nagle Wołodko, nie odrywając oczu od wiru.

Chwedot wzdrygnął się, nie spodziewając się wołania, pociągnął głośno nosem i odpowiedział:

— Co?

— Wiesz ty co?

— Nie wiem.

— A przysięgniesz, że nie będziesz płakał, to powiem.

— A ty nie powiesz mamie, że się przysięgałem?

— Durny ty. Teżbym miał mamie opowiadać. Przysięgnij.

— „Jii Bo". Nie będę...

— Czego nie będziesz?

— Płakać.

Wołodko spojrzał na Chwedota, jakby chciał powiedzieć: czy to można wierzyć twoim przysięgom? Bo też wyglądał Chwedot bardzo niezachęcająco. Policzki brudne. Pozasychały na nich całe potoki łez. Nosek czerwony. Oczy smutne. Jednak Wołodko wstał i przemówił:

— Słuchaj Chwedocie, pójdziemy sobie tak... Wiesz? O, tak, tamtędy do Łebedów. Jak rzeczka płynie. Dobrze?

— Pysznie, pójdziemy — zgadza się Chwedot i nawet jakby nabrał odwagi.

— Zobaczymy dokąd ta rzeczka płynie — wyjaśnia Wołodko. — A w Łebedach jest wielki staw... A na stawie łabędzie. Wiesz ty, co to łabędzie?

— Nie. Nie wiem.

— Takie gęsi... Wiesz?

nasze mogły tu kiedy dojechać, wreszcie". Dużo mówiły te głosy.

A jednak sześćset głosów poszło spać, a kilkuset przeciwników nie ustępowało wcale z walki, nie pomagały im perswazje. Radość ogarnęła chłopów, gdy mimo wszystko 960 głosów za zmianą przygniotło 300 głosów obrońców starego porządku. Jest to wielki krok ku prawom należnym wsi, ku większej sprawiedliwości, ku demokratyzacji. Nasz okręg chłopski zamiast głosów 10 na zeszłorocznym Zjeździe będzie mógł przywieźć już w roku przyszłym głosów kilkaset. Wiatr przestanie wiać w oczy. To była sprawa najważniejsza, zrobiona już chyba na zawsze.

W czasie tego Zjazdu Związek Spółdzielni Spożywców „Społem" ofiarował wojsku naszemu 13 samochodów ratunkowych dla rannych za 160.000 złotych. Osiem kupiły same spółdzielnie, trzy Związek, jeden Bank „Społem", a jeden pracownicy spółdzielczy. Spółdzielcy, których zawsze celem jest człowiek, a nie złoto, nie zysk — chcieli powiedzieć przez ten dar, że i w najgorszym nieszczęściu ludzkim, jakim jest wojna, zawsze pamiętać każe o człowieku, którego krew, życie, zdolność, duch i idea są ważniejszymi ponad wszystko, po nad kule i bagnety.

Na Zjeździe zwrócono uwagę, że na wypadek grożącej wojny, gdy mężczyźni pójdą pod broń, miejsce ich w spółdzielniach musi zająć kobieta, jako sklepowa, księgowa czy kierowniczka spółdzielni, że muszą się już do tego sposobić i Związek im pomoże.

W czasie dyskusji przemawiały 3 kobiety, spółdzielczynie wybitne, jednak z miasta, jedna zasiadała za stołem prezydialnym, a jedną wybraliśmy na zastępczynię członka rady nadzorczej Związku. Czekamy, by tam wynieść wnet kobietę wiejską. Prawo i zwyczaj spółdzielczy szybciej niż państwowy wprowadza znaczenie kobiety.



Wypoż. z P. R

Czy to się opłaci

— Yhy... Gęsi to wiem.

— No to chodźmy!

Wołodko bierze za rękę Chwedota i idą razem. Idą na wschód, prosto wzdłuż rzeki. Co ich to obchodzi, że słońce już się schowało, że pozostawili ognisko i że wiatr rozmiata gorący żar, w którym możnaby jeszcze coś upiec. Co ich obchodzi ta pusta, na wpół dzika, bezludna okolica z rzeczką, lasem i bagnem, okolica nakryta jakimś kamiennym, zimnym, bezbarwnym, jesiennym niebem. Oni mają przed sobą jasny cel....

Idą tak, zmęczą się przystaną, albo przykucną na końcach palców, by nie siadać na mokrej ziemi, posiedzą, spojrzą jeden na drugiego, dodadzą sobie w ten sposób odwagi i ruszają znowu. I kiedy byli już tak daleko, że ich własna chata schowała się za zaroślami, tak, że nie można jej już było zobaczyć, zaczął zapadać zmrok. Wołodko pierwszy, jak zawsze, ocknął się, przystanął, rozmyślał nad czemś, ale nad czem, od tego Chwedotowi wara. Ten mógł tylko, rozdziawiwszy usta, patrzeć w oczy brata, bojąc się nawet zapytać o czem tak rozmyśla. A brat rozważał, czy nie należałoby im tak poniechać pierwotnych planów i póki czas jeszcze zawrócić do domu, bo tu już bardzo pachnie „laniem". Patrzy przed siebie. A tam rzeczka, krzaki, las, błoto i czorta nawet nie widać, ani wioski, ani stawu, ani łabędzi. Wracać? Daleko i trudno. Ot, żeby się tak udało jakoś prosto przez błoto odbić się od rzeczki na pole. Tam już sucha ścieżka a i chata nie za górami. Tylko jak przez to błoto? I z tym płaksą w dodatku?

I nie pytając nawet Chwedota o zdanie zawrócił nagle ku północy, a za nim powlókł się Chwedot. Wkrótce znaleźli się w takim trzęsawisku, że tylko siadaj i płacz. Ni tędy, ni owędy. Skaczą z kępki na kępę, a z pod każdej chlupie brudna, rdzawa woda. Nogi grzęzną w niej po kolana i wyżej. O ubraniu już lepiej nie mówić. A tu wieczór, jakby się zawziął. Ciemność zapada tak gwałtownie, jakby nie miała nic lepszego do roboty, tylko straszyć tych nieszczęsnych, dzielnych podróżników. A jaki ziąb. Wiatr kąsa jak wściekły. Aż krew zastyga. Wołodko sam już ledwie się wlecze, a tu jeszcze musi ciągnąć Chwedota. Ten już kilka razy zdążył fiknąć kozła i przedstawiał naprawdę opłakany widok. Ni twarzy ni ozu — niczego byś nie rozróżnił. Był jedną wielką plamą błota. Ale przysięgi dotrzymuje wiernie, chociaż chęć płaczu oddawna bardziej mu dokucza, niż wszytkie inne udręki. Wlecze się, pada, wstaje, znów idzie dalej i cierpi. Ale wszystko musi mieć swój koniec. Przyszedł i kres cierpliwości Chwedota. Wołodko zauważył to już dawno i z zamierającym sercem oczekiwał czegoś najgorszego. I najgorsze przyszło. Chwedot potknął się, dał nura w trzęsawisko, ugrzązł w błocie rękami i nogami i tak się rozbeczał, że zanim Wołodko, wytężając resztki swoich skromnych sił, zdążył podnieść go, ten ryczał już na całe łęgi.

Oto i masz. I uwierz tu drugi raz cudzej przysiędze. Wołodko stanął wśród błota i rozłożył ręce. I co począć teraz? Czy dalej męczyć się i skakać po błotnistych kępkach, czy przyłączyć się do Chwedota i już wspólnymi siłami rozpocząć prawdziwy koncert. Bezsprzecznie, uznaje tu swoją winę. To przecież on „przywódca do wszystkiego" wyciągnął tutaj tego „kurdupla". Ale kto by się

MARIA KIELAROWA

Przedślubne obiecanki

Istnieje prastary zwyczaj na wsi, że młodzi, mający się pobrać, urządzają najpierw „osłęby" czyli zaloty. Na takich „osłębach" rodzice młodej pary przyrzekają sobie wzajemnie, że to lub owo dadzą młodym na rozpoczęcie nowej gospodarki.

Jeśli jedna strona jest zamożniejsza i więcej mogłaby dać młodym, wtedy — jak może — tak i te drugą stronę naciąga, aby jak najwięcej przyobiecała. Często sami może nie są pewni siebie, czy będą mogli wykonać to, co przyobiecali, ale drugiego to naciągają, jak tylko mogą.

Zdawałoby się, że jest to rzecz godna pochwały, gdy rodzice wspólnie uchwalają nad losem swych dzieci i obiecują im we wszystkim dopomóc. Czy to dom, czy stajnię albo stodołę wystawić, może dać jakieś bydlę, konia lub krowę, ale najważniejsze pierwsze miejsce w okresie żeniaczki zajmują morgi. Na wsi nie patrzy się przeważnie ani na charakter, ani na wartości duchowe, byle tylko były morgi, to wszystko inne da się jakoś zrobić! Słusznie też ktoś powiedział: „Gdyby koza morgi miała, toby zaraz się wydała".

Łatwo takiej parze młodej wstąpić w związek małżeński, gdy majątek ich jest mniej więcej jednakowej wartości; ale gdy jest znaczna różnica w majątku, jakież to wtedy wysuwane są różne przeszkody ze strony zamożniejszych rodziców. Choćby młodzi mieli jaknajlepsze chęci ku sobie, mimo to rodzice są często nie ubłagani i nie dozwolą żenić się synowi z ubogą dziewczyną, albo córce wydać się za uboższego chłopca. Nie wiem czy mają rację?

Z jednej strony, to niby potrzebny jest do życia jakiś majątek, ale z drugiej przecież człowiek nie z majątkiem żyje, ale z człowiekiem. Dobrana para, chociaż w niedostatku, prawie zawsze jest szczęśliwa i bardziej zadowolona, aniżeli ta, co żyje w jaknajwiększych bogactwach, a zgody między nimi brakuje. Cóż to za życie,pożal się Boże—gdy małżonkowie nie mogą się zgodzić. Słychać stale narzekania i szlochy, przeważnie kobiece, bo mężczyźni są twardzi i mniej się przejmują, uprzyjemniając sobie życie zdala, poza domem. A kobieta? Cierpi i łzy wylewa, nie mając się nawet przed kim użalić. Mąż miał być jej najlepszym przyjacielem — stał się wrogiem. Rodzice, którzy swoją córkę wbrew jej woli przymuszali do małżeństwa, teraz są bezradni, a nawet całą winę na nią składają, mówiąc, że taka grymaśna, „jak by ta chciała, toby było dobrze".

Nieszczęśliwa młoda kobieta, opuszczona przez wszystkich, staje się małomówna, smutna i przygnębiona. Jeszcze młode lata, a już siwizna włosy przyprószyła, zmarszczki i brózdy ryją się na czole. Gdybyśmy zapytali o przyczynę smutku, odpowie nam krótko: „Winni rodzice!"

Rodzice niestety rzadko kiedy zastanawiają się nad młodym małżeństwem. Czy charaktery są dobrane, czy będzie szczęśliwe. Troszczą się tylko o to, aby było bogate.

Dla uzasadnienia podam przykład, który zrobił na mnie wielkie wrażenie.

W naszej wiosce przed kilkoma laty zdarzył się następujący wypadek:

Jeden zamożnej rodziny syn, jednak upodobał sobie biedniejszą od siebie dziewczynę. Żenić się z nią nie miał zamiaru, bo była biedniejsza, rodzice jej nie mieli tyle morgów, co on. Czasem, ot dla rozrywki, zacho-

---

mógł spodziewać, że ten tak bezbożnie złamie przysięgę i okaże się taką babą. Wszystko, czym tylko próbował uspokoić Chwedota, odbijało się jak groch od ściany; ten ryczy dalej. Wreszcie chwycił się ostatniego argumentu.

— Cicho! Słyszysz? Cicho! Powiadam ci, cicho!

Chwedot ryczy.

— Cicho! — krzyczy Wołodko. — Przysiągłeś.

Chwedot ryczy.

— No, poczekaj. Mama ci da. Poskarżę, że przysięgałeś się — powiedział przez łzy Wołodko.

Ostatnia groźba podziałała w cudowny sposób. Chłopiec przestał ryczeć w tej samej chwili. Te słowa „mama ci da" i „poskarżę, że się przysięgałeś". Boże! To przecież oczywiste... Cóż może się stać gorszego, gdy zjawi się w takim stanie w domu, a do tego jeszcze z takim strasznym grzechem? Nie, Wołodku. On już lepiej przestanie, byleś nic nie mówił mamie. Ale nogi bardzo mu zmarzły i wszystko mu przemokło.

Ostatnie słowa podniosły ich obu na duchu... Tędy i siędy powoli wyleźli na drogę i już przy samym polu, gdzie największe błoto, płacz zaczął się na nowo, ale teraz płakali już obydwaj. Pierwszy, i jak się tu nie dziwić, zaczął Wołodko, a za nim pociągnął Chwedot. Kiedy nareszcie dobrnęli do drogi, lepiej już było wcale nie wracać w takim stanie do domu. Wołodko dopiero teraz uświadomił sobie całą istotę swojej wyprawy i zrozumiał jasno, że dla niego skończy się ona jeszcze gorzej niż źle. Był mocno przekonany, że dostanie mu się za to od mamy. Za co?

Z uczuciem głębokiej a niesprawiedliwej urazy, drżąc ze strachu i chłodu, prowadzi za rękę po nocy ledwie żywego swego towarzysza niedoli i gorzko a po cichutku płacze w duszy, powstrzymując głos i tylko łzy same całymi strumieniami niepowstrzymanie i natrętnie leją się z jego błękitnych, głębokich oczat.

Późno, bardzo późno, mokrzy, głodni, ziębnięci, przedostali się do własnej chaty. Chwedot już nawet nie płacze, już tylko sam Wołodko. I Chwedot zaczyna go widocznie żałować. Wytrzeszcza na Wołodka oczy i dziwi się: i po co płakać, kiedy są już przecież w domu. W tym błocie... To była inna rzecz.

Głupi, biedaczysko. On nie wie nawet, że dla Wołodka teraz dopiero zaczyna się zmartwienie. Bo rzeczywiście, i co stanie się takiemu Chwedotowi? Małe to, głupie. Ale starszy. Już nieraz dopiekło mu to starszeństwo...

Ale kiedy weszli do chaty, było w niej ciemno i chyba nie było nikogusieńko w domu. To znaczy, że narazie dobrze. Nie ma się co namyślać. Szybko nie myjąc się, nie wycierając, wdarli się (Wołodko ledwo że podsadził Chwedota) do najpewniejszej ochrony pokrzywdzonych dzieci, do ich niedostępnej fortecy — na

dził do domu tej dziewczyny. Rodzice prędko zmiarkowali, że temu jedynakowi podoba się ich córka. Zaczęli więc rozgłaszać po wsi, że ich najstarsza córka dostanie połowę majątku, jaki posiadają, a reszta dzieci (było ich jeszcze 4-ro) dostanie resztę. Jej dadzą więcej, bo najstarsza najwięcej się narobiła, a co najważniejsze, najwięcej ją lubią.

Jedynak dowiedziawszy się o tym, zdecydował się ożenić. Rodzice nie stawiali mu przeszkody, gdyż rodzice przyszłej synowej stanowczo oświadczyli, że decydują się dać jej więcej majątku aniżeli młodszym dzieciom.

Przed ślubem jedynak zażądał od przyszłych teściów, ażeby mu zapisali przyobiecany majątek. Ale oni byli sprytniejsi od niego. Na zapis trzeba dużo pieniędzy, które są teraz potrzebne na wesele i wiano dla córki. Zaraz po weselu — oświadczyli — zapiszą wszystko, co przyobiecali, przecież mu krzywdy nie zrobią, skoro córkę tak kochają. Jednak zgodził się poczekać na spełnienie obietnicy.

Wesele wypadło wspaniale, młodzi byli bardzo zadowoleni a rodzice także.

Mijały dnie i tygodnie. Życie płynęło wesoło. Ona była jeszcze u swoich, a on też u swoich rodziców. Po roku pożycia, gdy młoda kobieta miała zostać matką, rodzice kazali zięciowi zabrać żonę do swojej gospody. Oni na nią robić nie będą, kiedy w tym stanie nie może pracować. Zięć wobec tego upomniał się o spełnienie owych obiecanek przedślubnych.

I cóż usłyszał w odpowiedzi: „Toś ty przecie żenił się z córką naszą nie z naszym majątkiem". I zaczęli wymyślać różne powody dla których nie mogą mu dać majątku obiecanego, a tylko tyle, co wypada na każde dziecko. Mówili, że źle się z nimi obchodzi, że ich córki nie szanuje tak jak powinien, nie umie gospodarzyć to wszystko by przemarnował itp. Młody małżonek był bardzo zawiedziony i widząc, że wpadł w sprytnie zastawioną pułapkę, zaczął robić wymówki i bić swoją żonę. Życie dotąd ciche i spokojne stało się istnym piekłem. Z czyjego powodu? Nikt, tylko rodzice jego żony wszystkiemu winni. Gdyby nie obiecywali, nie miałby teraz do nich pretensji.

Młody żonkoś był łapczywy na majątek, a gdy się zawiódł, nie zważał na stan swojej żony. Bił ją, poniewierał, jakby była przyczyną jego rozczarowania. A co ona nieszczęśliwa temu winna, że rodzice tak ją oszukali. Prosiła ich, błagała, a oni odpowiadali na to z urazą: „To tybyś miała sumienie brać majątek sióstr, chciałabyś ich skrzywdzić?" — Pocóżeście obiecywali — mówiła — że dacie i ja teraz muszę przez was cierpieć?" — A oni znów na to: „Jak by my były nie obiecywały, toby się był napewno z tobą nie ożenił; ma on majątku dosyć, to i ciebie może utrzymać. Chcielibyście mieć więcej majątku od nas!"

I tak przez pychę i nieuczciwe wyrachowanie swoich rodziców córka skazana została na straszną niedolę. Ze zmartwienia i zgryzoty zachorowała. Nikt o nią nie dbał, nikt jej nie ratował, ani chciał leczyć. Mąż mówił, aby rodzice leczyli, skoro nic od nich nie dostał, a za swoje leczyć nie będzie. Rodzice znowu oświadczyli, że dali mu ją zdrową, to nie mają obowiązku teraz jej ratować. I młoda kobieta musiała pożegnać się z życiem, pozostawiając maleńką sierotę.

Oto do czego prowadzi chciwość rodziców. Przy pomocy fałszu zdobywają bogatych zięciów nie dbając, że takie postępowanie zemści się na ich córce.

Rodzicom, a zwłaszcza matkom wydaje się, że po ożenku młodzi muszą żyć ze sobą. Nie dbają natomiast o to, jakie będzie to pożycie.

Matki i Ojcowie, jeżeli Boga w sercu macie, to nie kłamstwem i obiecankami uszczęśliwicie swoje córki; przeciwnie, wyrządzicie im największą krzywdę i zrujnujecie ich szczęście. A takie postępowanie nie godne jest uczciwego i rzetelnego człowieka!

---

piec. Zasiedli tam obydwaj pod legowiskiem na gorącej polepie i tylko zrzadka, nieśmiało pociągając nosami....

Siedzieli tak z jaki kwadrans zanim pierwsza nie przyszła matka. A zaraz za nią wszedł i ojciec.

— Boże, Boże. I gdzież te dzieciska polazły?... Może polazły w bagno Mateńko Boża, zachowaj — martwi się matka.

Ojciec milczy. Usiadł ciężko na ławie przy stole i wsparł się na nim odrzuciwszy wpierw płócienny obrus żeby go nie powalać brudnymi rękami.

— I dlaczego milczysz? — nie ustaje matka. Żebyś się przynajmniej ruszył. Ja już cały las obiegłam, aż do łebedzkiego wyrębu, i w łęgach byłam i we młynie... O, ja nieszczęśliwa...,

Ojciec podniósł się... i mruknawszy „Ach, jak te przeklęte plecy bolą", nałożył brudną czapkę na łysinę. Widocznie gotował się do w

Wołodko długo i bohatersko zmaga się ze wzbierającymi spazmami płaczu w gardle. Długo zaciska usta jak może, żeby tylko nie wydać głosu. Tylko gorące łzy lecą bez ustanku i coraz gwałtowniej. Ale kiedy ojciec był już koło drzwi i brał za klamkę, żeby wyjść Wołodko nie wytrzymał, naprzód zachlipał, a potem jak trąba beknął głośno, ze szczerego, skruszonego serca. Za nim odezwał się i Chwedot. Zgodny płacz, bez domieszki nieszczerości rozdarł ciszę wypełniwszy całą chatę. Na szczęście skończyło się na tym. Wasyla nie było jeszcze w domu, a ojciec był najwidoczniej tak zmordowany, że nie mógł myśleć już nie tylko o własnych ale i o cygańskich dzieciach. Rad był najwidoczniej, że nie musi ich szukać wyszedł jednak z chaty, niby to „zaglądnąć do chlewa". A matka, jak to matka. Podniosła lament, ściągnęła obu z pieca i tarmosząc jak zarżnięte kurczęta, obdarzając najbardziej wym [illegible], zaczęła z nich ściągać te „szmaciska", myć te „nożyska i rączyska", nakazując surowo: „a nie zjedzcie mi, to was tu taj roztrzęsę i zaraz marsz mi spać".

Obydwaj wykonali natychmiast rozkaz „marsz mi spać". Szybko, zanim nie powrócił ojciec. Lepiej zniknąć z oczu, kiedy licho śpi. Ale Wołodko nie może zasnąć. Trudne i nierozwiązane zagadnienie, dokąd płynie ta rzeczka, prześladuje go i we śnie. Nie. Nie może spać spokojnie. Głębokie i urywane westchnienia rywają się z drobnych piersi chłopca. Lęk, pożądanie i jeszcze coś niezrozumiałego szybuje nad śpiącym Wołodkiem.... Matka, kładąc się spać, spojrzała na dzieci.

Smarkacze.... — powiedziała, przeżegnała i okryła ciepłymi „szmaciskami" ich czarne, poorane, z rozczapierzonymi palcami „nożyska". Przyszedł i ojciec. Ten milczy przez cały czas. Rozebrał się, legł na twardym posłaniu i zasnął snem kamiennym.

WŁADYSŁAW CIEKOT—lekarz

Strzeżmy się wypadków

Co roku zdarzają się setki i tysiące ciężkich wypadków przy różnych zajęciach w gospodarstwach wiejskich, kończące się śmiercią lub ciężkim kalectwem. Ponieważ na wsi ubezpieczenie od wypadków nie istnieje, przeto osoby dotknięte kalectwem stają się ciężarem dla swych rodzin a leczenie długotrwałe prowadzi nieraz do ruiny gospodarstwa.

Dla uspokojenia własnego sumienia zwykło się mówić „ano, tak mu widać było pisane". Często uważa się nieszczęśliwy wypadek jako karę za jakieś grzechy. Jest to rzeczywiście kara ale za nasze niedbalstwo albo lekceważenie niebezpieczeństwa którego można by uniknąć przez zachowanie najprostszych środków ostrożności.

Posłuchajmy krótkiego opisu kilku przypadków w przychodni Spółdzielni Zdrowia w Markowej w roku ubiegłym.

Wypadek 1. Podczas młócenia zboża chłopak, poganiający konie, pośliznął się i rękę pochwyciło koło transmisyjne. W rezultacie prawe przedramię złamane w kilku miejscach. Przez 2 miesiące niezdolny do pracy, po wygojeniu skrzywienie i osłabienie ręki.

Wypadek 2. Dwudziestoparoletnia dziewczyna pośliznęła się na stole młocarni i wsadziła nogę w gardziel maszyny. Wskutek tego nastąpiło zmiażdżenie stopy, której większą część trzeba było odjąć. Młoda dziewczyna stała się do końca życia nieszczęśliwą kaleką.

Maszyny takie jak młockarnie, kieraty, sieczkarnie, żniwiarki mogą się stać przyczyną wypadku nie zawsze z winy obsługujących. Małe ziarno zboża wylatujące z wielką siłą z młocarni może trafić w oko i spowodować ślepotę. Koła rozpędowe, tryby mogą bardzo łatwo wciągnąć część ubrania a za nim rękę lub nogę. Nim w ogólnym hałasie zdąży się zatrzymać maszynę, już przeważnie jest zapóźno. **Dlatego wszystkie części niebezpieczne maszyn, a więc wszelkie koła, tryby, wały łączące, pasy powinny być okryte drewnianymi osłonami w postaci pudeł, korytek i t. d. Ludzie obsługujący zwłaszcza kobiety powinni mieć ubranie obcisłe aby nie mogło być pochwycone przez maszynę. Pracujący przy otworach młocarni winni być zaopatrzeni w ochronne okulary, których koszt jest minimalny bo wynosi kilkadziesiat groszy zaledwie.**

Oprócz maszyn nawet tak proste narzędzie jak drabina może spowodować nieraz śmiertelny wypadek.

Oto przykład:

Starsza gospodyni weszła na górkę aby zrzucić trochę siana dla bydła. Drabina po gładkim klepisku obsunęła się, a kobieta spadła na stojący obok wóz. Skutek: duża rana głowy zerwanie wiązadeł w stawach skokowych i ciężkie potłuczenie ogólne. Miesiąc walczyła ze śmiercią z powodu uszkodzeń i osłabionego serca.

Każda drabina przenośna powinna mieć nietylko wszystkie szczeble w porządku, ale dolne końce zaopatrzone w zaostrzone szpice żelazne, które wejdą w ziemię i nie dopuszczą do pośliźnięcia się drabiny.

Z powodu upadku z drabiny zdarzył się 1 wypadek złamania obojczyka u starszej kobiety (8 tygodni leczenia), 1 wypadek złamania kości miednicy (10 tygodni w łóżku), 1 wypadek złamania kręgosłupa szyjnego, zakończony śmiercią.

Kosa jest narzędziem b. niebezpiecznym. Znany jest wypadek ucięcia głowy rowerzyście, który nieostrożnie podjechał do niosącego kosę na ramieniu. Przed paru laty w jednej z sąsiednich wsi naszej okolicy gospodarz jadąc w pole, położył na wozie z tyłu kosę. W czasie jazdy kosisko spadło, zaczepiło o jakąś nierówność na drodze, a kosa przebiła na wylot nic nie spodziewającego się woźnicę. Do Spółdzielni Zdrowia zgłosiła się kobieta z głęboką raną stopy zadaną przez koszącego męża. Drugi przypadek to mężczyzna z ciężką raną ramienia od kosy, na którą się przewrócił.

Uniknie się wielu wypadków, o ile kosiarze i odbieraczki będą zachowywać większą odległość przy pracy. Przy niesieniu kosa powinna być zabezpieczona dwiema dopasowanymi deszczułkami, które można przywiązać byle sznurkiem po obu stronach ostrza.

Widły, grabie, rydle i t. p. porzucone gdziekolwiek w oborze, stodole czy podwórzu, mogą się stać przyczyną skaleczenia ludzi lub zwierząt zwłaszcza wieczorem po ciemku. Dlatego powinny mieć swoje stałe miejsce w szopie, gdzie zawieszone na kołkach razem z innymi narzędziami gospodarskimi, nietylko na dłużej wystarczą, ale ponadto nigdy nie staną się przyczyną wypadku.

Zwierzęta, szczególnie konie i buhaje przez kopnięcie lub ubodzenie powodują czasem kalectwo lub śmierć naskutek niewłaściwego obchodzenia się z nimi. Podobno nie ma złych zwierząt tylko źli ludzie, którzy przez złe obchodzenie się ze zwierzętami, rozdrażniają je i uczą różnych narowów. Aby zapobiec częstym wypadkom w stajni lub oborze, należy do zwierząt podchodzić nie z tyłu i boku ale od głowy. **Tak trzeba urządzać pomieszczenia dla zwierząt, aby między ścianą i żłobami było wolne przejście dla zadawania karmy.** Nawet tak spokojna krowa oganiając się przed muchami, może ogonem trafić w oko i spowodować czasem ślepotę. Trzeba zatym do dojenia albo przywiązywać ogon albo zakładać ochronne okulary.

Na zakończenie trzeba wspomnieć o niektórych cierpieniach bardzo rozpowszechnionych wśród kobiet na wsi. Chodzi mianowicie o tzw. bóle krzyża, których przyczyną są bardzo często nieprawidłowe położenia macicy — skrzywienia i opadnięcia. Powstają one **przeważnie z powodu dźwigania i podnoszenia ciężarów przez kobiety wcześnie po porodzie, a nawet w okresie regularności.** Tak często widzi się kobiety, dźwigające sagany dla świń, toboły z pola albo nasypujące ziemniaki na wóz. **Czynności te są b. często przyczyną tyłozgięcia macicy u kobiet albo przepukliny u chłopców.** Cierpienia powyższe są możliwe do wyleczenia tylko drogą operacyjną. Dlatego dźwiganie a zwłaszcza podnoszenie ciężarów należy pozostawić mężczyznom dorosłym, którzy są więcej do tego przystosowani.

Najczęściej spotykane uszkodzenia na wsi to drobne skaleczenia i ukłucia, na które głównie kobiety są narażone i których niepodobna uniknąć w gospodarstwie. Przeważnie nie zwraca się na nie większej uwagi i goją się same. Zdarza się jednak, że tworzy się ropne zapalenie koło paznokcia, albo ścięgien wreszcie kości. Te tak zwane zastrzały kończą się zwykle u lekarza operacją albo zakażeniem krwi i śmiercią. Większość

tych wypadków można zapobiec przez zwykłe zajodynowanie nawet małej ranki i czyste zawinięcie.

Unikniemy z pewnością wielu nieszczęść, jeśli będziemy dbać o ład i porządek w domu i obejściu, wdrażając do tego dzieci i domowników. Zachowujmy ostrożność przy pracy, zabezpieczajmy narzędzia i maszyny gospodarskie.

Bo strzeżonego Pan Bóg strzeże



Bajka Iskierki.

Z popielnika na Wojtusia
iskiereczka mruga:

— Chodź, chodź. . . .
bajkę ci opowiem.
Bajka będzie dłu . . . ga:

Była sobie Baba Jaga,
miała chatkę z masła.
A w tej chatce straszne
dziwy! . . .
Psst . . .
Iskierka zgasła.

. . . .

Z popielnika na Wojtusia
iskiereczka mruga:
— Chodź, chodź . . .
bajkę ci opowiem.
Moja będzie dłu . . .
ga . . .

J. Porazińska.

Jak słonko tęczę malowało

Wygramoliło się słonko na drabinę wysoko, wysoko wyciągnęło z zanadarza cały pęk pendzli małych i dużych, krótkich i długich. Siedzi, palce rozstawiło i liczy.

Do tęczy siedmiu rai farb potrzeba. Sześciu czy siedmiu? Nie, siedmiu. Czerwonej, pomarańczowej, żółtej, zielonej, czerwonej, niebieskiej.... Nie czekajcie, jakoś za dużo. Jeszcze raz... Jakoś za piątym, czy szóstym razem dorachowało się Słonko wszystkich siedmiu farb.

Siedzi i myśli — Czerwonej mam dużo. Pomarańczowa? Skąd tu wziąć pomarańczowej farby? Z żółta też bieda, bo łubiny jeszcze nie kwitną, a z kaczeńców co była miseczka, to ja sobie Księżyc niecnota wylał na łysinę, bo myślał, że jak żółto świecić będzie, to go ludzie za Słonko wezmą. A właśnie, jeszcze czego! Zielonej mi nie braknie; mało to trawy na łąkach, a liści w lesie,? I o niebieską i granatową też nie ma co się turbować, bo tego wszędzie pełno. Fioletowej mam odrobinę, najgorzej z tą pomarańczową i żółtą, skąd tu wziąć, skąd tu wziąć? — stukało się Słonko palcem o głowę.

Nagle spostrzegło Marysina łowicką spódnicę, co się po praniu na płocie suszyła.

— Dawajcie mi zaraz farby z tej spódnicy, będzie w sam raz na tęczę.

Skończywszy z pomarańczową wzięło się Słonko do żółtej. Najwięcej kszy z nią był kłopot. Nie było innej rady, musiały promyczki z słoneczkowego rozkazania po trawie wędrować, stokrotkom w oczka zaglądać i z ich złotych środeczków żółtą farbę zbierać. Zbierały, zbierały ze stokrotek, z rumianków, ale szło im niesporo, bo i cóż to tam zbierze z takiego drobiazgu. Nie było też tego bogato, ale zawsze zebrała się w końcu miseczka.

Z zieloną, niebieską i granatową nie było już zato kłopotu. Mało to trawy na łąkach, sinych jezior i potoków, a chabrów w zbożu? Do fioletowej musiało słonko białej mgły domieszać i farby z dzwonków polnych bo była za ciemna, no i jakoś tam nie źle wyszło.

Zakasawszy rękawy po łokcie, wzięło się teraz Słonko do malowania.

Czarnym węglem z komina od starej Marcinowej pożyczonym, narysowało Słonko najpierw wielki łuk na niebie. Ogromny był ten łuk. Jeden jego koniec kąpał się daleko w jeziorze, drugi aż o las na Łysej Górze zawadzał. Pod nim narysowało Słonko drugi, potem trzeci, czwarty i tak dalej, aż siedem pasów, jeden koło drugiego łukiem na chmurze legło. Z czwartym dziwnie długo nie mogło sobie Słonko poradzić. To z jednego końca grubszy, z drugiego cieńszy się wydawał, to odwrotnie, to znowu w środku jakiś krzywy, to węgiel pisać nie chciał, to znowu palce smolił. Wycieraj i wycieraj!

Wreszcie cały łuk gotowy, teraz sprawa najważniejsza: malować.

I wzięło Słonko fioletową farbę, tę z dzwonków polnych, mgły i fiołków wybrało pędzelek niewielki, bo w miseczce farby było nie wiele. Przeżegnało się, przymrużyło lewe oko, umoczyło pędzelek w farbie i mach! nim po chmurze.

Ładnie czy nieładnie? Ej, chyba ładnie.

Wyszło rzeczywiście prześlicznie. Na białym, śnieżnym polu zakwitła fioletowa półkolista smuga.

Na drugi brzeg łuku wybrało Słonko czerwoną farbę. Cudneż to było, cudne widowisko ta czerwień z pastuszkowych płomyków. Zdawało się że cała smuga płonie, drga, żyje, że się bodaj porwie z chmury i ruszy w świat. Czemprędzej trzeba ją było przymalować z boku pomarańczową farbą.

Potem żółtą stokrotkową, potem zieloną z łąk, niebieską i granatową z chabrów polnych.



Baba Jaga J. Przybylska

Słonko wszystko wykańcza, niezamalowane miejsca poprawia, węgiel gdzie go jeszcze widać było z pod farby zamazuje, wreszcie zbiera, wyciera pendzle i....

Zabłysła tęcza w całej świetności kolorów i blasków. Ale cóż? Nie miało się Słonko czasu nawet dobrze przyjrzeć swojej tęczy. Tak pilnie pracowało nad nią, że się nie spostrzegło, że mu już wielka pora iść spać. Zorza wieczorna za łokieć go ciągnie. Mrok z tyłu popycha. Żal mu było z drabiny schodzić. Taka ta tęcza śliczna.

Popatrzyło Słonko jeszcze chwilkę i zaczyna powoli złazić z drabiny. Ledwie zlazło, już farby dalejże radzić:

— Przecież my na tej tęczy nocować nie możemy.

— Pewnie, że nie możemy. Tak tu głucho, pusto i ciemno — wołały wszystkie jedna przez drugą.

I dalej w nogi.

Pomarańczowa pierwsza kic na Marysina spodnicę, bo zobaczyła, że ją już zbierali chować do komory. Żółta jak pyłek, na swoje białe płatki się sypie, zielona jak mgła na trawę padła. Czerwona nie bardzo wiedziała co z sobą robić bo była z ognia co go pastuszkowie wczorajszego wieczora pod lasem palili. Teraz już ognia nie było to i wracać gdzie nie miała. Trochę jej poszło za Słońcem i na obłoczkach osiadło, co słonkowego zachodu pilnowały. Reszta starej Marcinowej do komina skoczyła, kiedy ogień na wieczerzę rozpalono.

Bladła tęcza coraz bardziej, bladła aż w końcu znikła zupełnie.

I teraz, ile razy się Słonku tęczy zechce, musi znowu na drabinę wysoko, wysoko wyłazić, farby szykować, chmury spędzać i wszystko od nowa zaczynać.

Tylko już teraz wcześniej się do roboty zabiera, żeby się móc swoją tęczą nacieszyć.

Baj—Baj—Baju...

Ta kolebka, ta wierzbowa
Jaguleńkę w zdrowiu chowa.

Kolebie się w lewo, w prawo,
to wolniutko, to znów żwawo.

Ta kolebka Jagnie rada
nocą bajki opowiada:

—Rosłam-ci ja na rozstaju...
Baj — baj — baju... Baj — baj — baju...

J. Porazińska

Chłopskie Święto Ludowe

Co roku obchodzą chłopi swoje święto ludowe w Zielone Świątki. W tym roku wypadło ono niezwykle uroczyście i poważnie. Wszystkie przemówienia podczas obchodu przepojone były głęboką troską o przyszłość Polski. W dniu tym, chłopi złożyli uroczyste przyrzeczenie, że tak, jak w roku 1920 nie szczędzili ofiary krwi i mienia kiedy hordy bolszewickie stanęły pod Warszawą, tak i teraz gotowi są każdej chwili do obrony całości i niepodległości Ojczyzny.

Poza tym chłopi domagali się łatwiejszego dostępu dla swych dzieci do szkół średnich i wyższych, bezwzględnego i rychłego przeprowadzenia reformy rolnej bez odszkodowania, oraz sprawiedliwych rządów w Polsce. Chłopi w całej Polsce tym radośniej obchodzili w tym roku swoje święto, bo powitali na nim swego długoletniego Prezesa Stron. Ludowego Wincentego Witosa, który po przeszło pięcioletniej tułaczce na obczyźnie, nareszcie powrócił do kraju.

Z dumą i radością podkreślić należy, że w chłopskim święcie ludowym wzięły liczny udział kobiety wiejskie co świadczy o coraz większym ich zainteresowaniu się sprawą chłopską.

M. MALAWSKA

Kobiety w Japonii

(wg. Ant. Zischki)

W krajach cywilizowanych kobieta wywalczyła już sobie mniej lub więcej prawo do życia, pracy i udziału w sprawach publicznych. Wiele wieków minęło zanim tak się stało. Wiele wieków ucisku i krzywdy. Podobnie jak niewolnicy wyzwalała się kobieta przez długie, długie wieki. Całe zastępy bojowniczek sprawy kobiecej musiały walczyć, zanim ludzkość mogła się poszczycić dzisiejszymi osiągnięciami. A przecież jeszcze dziś nie we wszystkich krajach kulturalnych cieszymy się pełnią praw ludzkich i obywatelskich.

W porównaniu jednak z dolą kobiet Zachodu, los naszych sióstr z dalekiego Wschodu nie zmienił się wcale. Jest tam tak, jak było przed wielu wiekami. Poddaństwo kobiety przyjęte jest za prawo porządku religijnego; według ludzi Wschodu kobieta nie posiada duszy, posiada ją tylko mężczyzna, bramy raju są dla kobiet na zawsze zamknięte. Kobieta jest rzeczą, własnością swego pana i władcy, zawsze pozostaje pod jego opieką, najpierw ojca, potem męża zaś w razie ich śmierci opieka spada na syna lub krewnych. Jeden z prawodawców wschodnich powiada, że kobieta jest zła i podstępna i że winna być wraz z szalonymi i dziećmi trzymana na wodzy, karana biczem i powrozem.

Tak jest i w dzisiejszej Japonii chociaż kraj ten uważany jest za jeden z najkulturalniejszych krajów Wschodu. Cywilizacja tego kraju stoi wysoko, ale zwyczaje pozostały te same, co przed wiekami, kobieta żyje w tym samym ucisku.

Japonia, zwana krainą tysiąca wysp leży na Oceanie Spokojnym, równolegle do wschodnich wybrzeży Azji. Właściwa Japonia zajmuje obszar 382.000 km. kw., ludności posiada 69 milionów. Tylko nieduża część ziemi nadaje się pod uprawę, bo reszta, to piaski, góry, błota oraz jeziora i lasy. Gdyby porównać stosunek ziemi uprawnej z ilością żyjących na niej ludzi, to na 1 km kw. przypada ponad tysiąc mieszkańców gdy we Francji 108, w Anglii 226, w Belgii 394, a w Polsce 85.

W dawnych czasach ta niewspółmierność była mniejsza, bo Japonia z obawy przed najazdami białych zamknęła swoje granice dla przyjeżdżających i wyjeżdżających, a ponieważ ziemia nie mogła wyżywić zbyt licznego narodu stosowano regulację urodzin. Rządzący wówczas t. zw. szogunowie wydali zarządzenia które nie pozwalały na większy przyrost naturalny ludności. Liczby 25 milionów nie wolno było przekraczać. W Kiushiu na pięcioro dzieci zabijano dwoje, w prowincji Tosa najwyższą ilość dzieci, jaką wolno rodzinie wyżywić określano na 1 chłopca i dwie dziewczynki. W prowincji Hiuga wolno było zacho-

wać przy życiu tylko pierworodnego wszystkie następne dzieci były uśmiercane lub zgładzone przed urodzeniem.

W połowie 19 wieku Stany Zjednoczone zmusiły Japonię do otwarcia swoich portów dla handlu z nimi i Europą. Na wszystkie nowości, które ukazali Japończykom biali, patrzono krytycznie aż w końcu zdecydowano, że ratować się można tylko drogą planowej gospodarki.

Swego czasu Japonia chciała uniknąć wszelkiej styczności z cudzymi krajami, ale gdy jej narzucono inną politykę, musiała, nie chcąc się stać czyjąś kolonią, dążyć do osiągnięcia potęgi mocarstwa.

O ile w czasie odosobnienia się od reszty świata konieczne było regulowanie urodzin, o tyle teraz przyrost ludności stał się potrzebny. Dążono bowiem do stworzenia potężnego przemysłu, co wymagało wielu rąk do pracy. Zaludnienie kraju zaczęło się pośpiesznie.

Nawet klęski żywiołowe nie mogły wpłynąć ujemnie na stopień płodności. W przeciwieństwie do innych krajów liczba mieszkańców Japonii wzrastała z każdym rokiem. W roku 1919 w czasie największych zysków z przemysłu na tysiąc mieszkańców przypadało 31,6 urodzeń, a w 1929, kiedy na ulicach Tokio ludzie padali z głodu a ilość bezrobotnych wzrosła do 2,780.000, urodzeń było 33 na tysiąc.

Przemysł japoński znajdujący się początkowo w rękach państwa oddano kilku rodzinom, których potęga stała się ogromna. Ich głos w rządzie jest decydujący, oni mają wpływ na wybór posłów, oni finansują wybory oni rządzą państwem, starając się wyciągnąć dla siebie jaknajwięcej korzyści, nie licząc się z resztą narodu. Ich kapitał ma największy głos. Przeludnienie kraju doszło do takiego nasilenia, wyzysk ludzi pracy i nędza ich była tak straszna, że ten co dawał najskromniejsze nawet pożywienie mógł żądać wszystkiego.

Gdy w Europie ludzie nie mający pracy, mogli wyjeżdżać za chlebem do Ameryki, dla żółtych było to niepodobieństwem, gdyż Amerykanie widząc ich ogromną rozrodczość, zaczęli się bać Japończyków i zabronili im osiedlać się w swoim kraju. Nie pozostało nic innego jak pozostać w ojczyźnie i w dalszym ciągu pracować nad jej uprzemysłowieniem. Robotnicy stali się więźniami swego kraju, zależnymi od pracodawców, nie mogąc mimo ciężkich warunków wymusić dla siebie większej płacy ani groźbą wysiedlenia się, ani rewo-

lucji, bo i ta nie wiele by zmieniła.

Zresztą mimo wszystko dola robotnika japońskiego nie da się porównać z dolą chłopa, którego nędza przekracza nędzę nawet bezrobotnego w Japonii. 49% wszystkich rodzin żyje z uprawy ziemi. Ziemi tej posiada Japonia bardzo mało a uprawiana jest ona tak, jak przed wiekami. O ulepszeniach nie może być mowy, bo pola są malutkie, porozrzucane po zboczach gór tak, że nawet gdyby chłop pozwolił sobie na maszyny, nie mógłby ich zastosować. Pola muszą być nawadniane za pomocą czerpaków, poruszanych przez człowieka, nawożone nawozem ludzkim przywożonym na ręcznych wózkach, bo chłop musi się obchodzić bez pomocy zwierząt, na które go nie stać. Pozatym przy takim gęstym zaludnieniu, jak jest w Japonii miasta nie mogą wchłonąć nadmiaru sił roboczych ze wsi, bo same mają rąk do pracy poddostatkiem.

Cała energia kraju zwrócona jest na zewnątrz. Chodzi przede wszystkim o zdobywanie zewnętrznych rynków zbytu dla przemysłu niż o uzdrowienie stosunków wewnętrznych. O te rynki zbytu toczy się obecnie wojna chińsko — japońska.

Najgorzej płatną w Japonii a najbardziej wyzyskiwaną jest siła robocza kobiety. Położenie jej jest w Japonii takie same, jak było przed wiekami. Rodzice decydują o przyszłości córek, które po wyjściu zamąż stają się sługami swoich mężów. Kobieta w Japonii jest istotą pogardzaną i nawet nowoczesne poglądy, które wraz z cywilizacją tu dotarły, niczego nie zmieniły. A mogło by się w doli kobiet wiele zmienić na lepsze, gdyby stworzyć sprawiedliwsze prawa.

Ale cóż znowu? Zmieniać prawa przez wzgląd na kobiety? Z ich powodu zmniejszać siłę konkurencyjną przemysłu? —

— Śmieszne! Czyż kobieta tego warta? —

Najbardziej cywilizowany Japończyk patrzy na swą żonę jak na służącą. Mąż i żona bardzo rzadko wychodzą z domu razem, a nawet żony wysokich dostojników nie mają prawa ukazywać się publicznie wraz z mężem. Jeśli spotkać na ulicy parę małżeńską, to żnoa idzie o trzy kroki w tyle za swoim panem i władcą. Wyzwolenie japońskiej kobiety ogranicza się prawie wyłącznie do noszenia europejskich strojów, trykotów kąpielowych i artykułów mody. Kobieta najbardziej nowoczesna klęka na progu domu, kiedy mąż wychodzi lub powraca.

W Japonii uważa się kobietę za istotę nieczystą.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej a nawet w czasie walk w Mandżurii w 1931 roku żołnierze przypinali do swych mundurów małe kawałki sukien kobiecych w tym przeświadczeniu, że „czysty" metal kul nieprzyjacielskich zmieni swój kierunek by nie dotknąć „nieczystego" kawałka materiału, który dotykał kobiecego ciała.

Na tym tle jakże wygląda dola córki chłopa?

Wielkiej niedoli nie łagodzi tu dostatek sfer posiadających. Ciężka praca, której jej nie szczędzi pogrążony w nędzy dom rodzicielski w połączeniu z niewolą stwarzają warunki okropne. Jeśli los jest litościwy, ojciec sprzedaje ją do fabryki lub wypożycza do domu publicznego za opłatą. Tam życie jest już znośniejsze o ile można sobie wyobrazić jakąś „znośność" w podobnej sytuacji.

W pierwszym wypadku łatwiej to sobie wyobrazić, chociaż praca jest wytężająca i nużąca, zwłaszcza, jeśli się zważy, że pracownice fabryczne to bardzo młode dziewczęta, bardzo często dzieci.

Fabrykant zapewnia sobie całkowicie siły robocze, nie ma mowy o spóźnianiu się lub nie stawieniu do pracy, bo stosuje system sal sypialnych, tak że robotnice nie rozstają się z fabryką nawet po godzinach pracy.

65% robotników zatrudnionych w przemyśle stanowią kobiety, co nie znaczy, by tych 65% zarobków one otrzymywały. Wcale nie! Otrzymują ich zaledwie 31%. Mężczyznom powodzi się o wiele lepiej. Tylko oni rządzą. Żądań kobiet nie słyszy się, bo nie mają prawa głosowania, upomnieć się o swoje prawa nie mogą.

Jakże smutno przychodzi się uśmiechać, gdy czytamy o Japonii jako krainie poezji, krainie kwitnących wiśni, tańczących gejsz, gdy się wie, jakim więzieniem, jaką niewolą dla kobiety jest ten pięknie opiewany kraj. O, nie! Nie może być pięknie tam, gdzie krzywda święci swe tryumfy, gdzie człowiek depce drugiego człowieka.

I napewno zmieniłaby się dola olbrzymich rzesz ludu japońskiego, gdyby zmienić ustrój ucisku bez granic.

Japonia podbija świat. Cywilizowana potężna Japonia. A z nor chłopskich, z nor bezrobotnych, z oczu sprzedawanych dziewcząt i męki poniewieranych żon, szczerzy potworne zęby staroświeckie, średniowieczne barbarzyństwo.

L. CIOSKÓWNA — MIAŁKOWSKA

Praca położnej na Polesiu

Opieka nad matką rodzącą na wsi nie przedstawia się w całej Polsce jednakowo.

Najlepiej na Pomorzu, Poznańskim i Śląsku, gdzie dziś już każda kobieta wiejska korzysta z pomocy położnej i nie może sobie wyobrazić że można swe życie powierzać ciemnej „babce". Gorzej już jest w innych połaciach kraju,a tragicznie wygląda ta sprawa na kresach wschodnich.

Ja właśnie pracuję jako położna na Polesiu w pow. kobryńskim na wsi i pragnę podzielić się wrażeniami ze swojej pracy.

Dawno już walczono tutaj o akuszerkę. Walczyli o nią gospodarze, radni gminni, a przodowała w tych staraniach miejscowa Żeńska Szkoła Rolnicza w Plancie. Masa zakażeń połogowych, przedwczesnych zgonów młodych kobiet, pchała ludzi światlejszych do szukania ratunku, aby temu zapobiec.

Do miasta, gdzie jest lekarz — położna daleko, a więc w razie nieszczęścia ratowano się jak kto umiał. Najważniejszą rolę odgrywały oczywiście babki, a każda z nich miała swoje sposoby „ratowania".

Nic dziwnego, że zakażenia i zgony rosły.

Gdy już ani babka, ani miejscowy znachor nic poradzić nie mogli dopiero szukano doktora lub położnej. Były to porody najczęściej nieprawidłowe, albo b. ciężkie i przewlekłe.

Zdziwienie też ogólne zapanowało, gdy się rozeszła wieść, że osiedliła się w okolicy położna, subwencjonowana przez gminę, która za niewielką opłatą ma odbierać porody u wszystkich kobiet. „U wszystkich"?

— Może u „tych, którym babka nie pomoże, może u tych, którym koniecznie trzeba". Nie, u wszystkich zapewnia gmina , „kiedy to taki wstyd przed akuszerką. Co to zaraz ludzie powiedzą? że to jakaś niedołęga bo bez akuszerki urodzić nie może. Akuszerka wymaga, aby wszystko było czyste, gdy babka co najbrudniejsze podłoży pod rodzącą i potem jeszcze upierze. Babka jest blisko, a czasem noc, deszcz i błoto to po akuszerkę mąż jechać nie zechce".

Takie i podobne rozmowy toczyły się wśród „babskiego narodu".

Nie dziwiłam się i nie miałam im tego za złe. Przecież tutejsze kobiety nigdy z pomocy położnej prawie nie korzystały, organizacje kobiece zaczynają dopiero powstawać, gdzie więc miały się uswiadomić.

Nie zniechęciłam się, ale zrozumiałam, że w tych warunkach praca położnej nie może się ograniczyć tylko do odbierania porodów, opieki nad rodzącą i dzieckiem. Trzeba równocześnie uświadamiać kobiety jak swoje zdrowie chronić, jak mają zachować się w okresie ciąży itp. Zaczęłam od tego, że objechałam całą gminę, odwiedziłam każdą wieś, gdzie na zebraniach kobiecych nawiązywałam bliższy kontakt z kobietami. Radziłyśmy wspólnie nad zdrowiem kobiety, omawiałyśmy skuteczność różnych przesądów dotyczących zdrowia, przedyskutowałyśmy samą sprawę „położna czy babka".

Wypłynęło to z zajścia jakie miałam z babką przy jednym porodzie na początku swej pracy tutaj. Pokrótce opowiem. Wezwano mnie do porodu w pewnej wsi, do jednego starszego małżeństwa, gdzie nie było dzieci 12 lat. Przewidywano ciężki poród, tak też i było Spędziłam tam całą noc i dzień. Sprzykrzyło to się rodzącej, a zwłaszcza kobietom z jej rodziny i postanowiono potajemnie przede mną i mężem rodzącej sprowadzić babkę.

Za moment miało narodzić się dziecko. Kiedy wtargnęła babka z gromadą kobiet i przypadła do mnie z przekleństwami i pięściami. Dlaczego ja tyle czasu siedzę naprożno, chora się męczy, a ja nic nie poradziłam dotąd „aby było predzej", chociaż jestem „akuszerką".

Oburzenie ich nie miało granic, gdy zobaczyły, że myję ręce, zamiast „pomagać". Babka skoczyła jednym susem, aby rękami takimi, jakie miała „pomagać", zatrzymałam ją w ostatniej chwili. Wzburzona chciała chciała mnie spoliczkować. Wtedy ja mówię spokojnie, że bić się tu niema o co, a skoro wezwali akuszerkę i babkę niechże wybierają kto ma zostać Mąż zdecydował, że ja, więc powiadam, musicie babciu zostawić w spokoju rodzącą, albo wyjść. Co



Cio — ło

wyjść — nigdy, albo nic nie robić to niemożliwe. „Ona umrze, bo ta akuszerka ją zamęczy". To wystarczyło, aby wzburzyć rodzącą i otoczenie. Poród już się rozpoczął, decydować więc trzeba było szybko. Wyrzucić babkę za drzwi, zamknąć je na haczyk, obmyć ręce sublimatem i odebrać poród. Tak się też stało.

Skończyło się jednak wszystko pomyślnie. Powoli przekonywują się i coraz więcej rozumieją rolę położnej. Coraz częściej jestem wzywana do porodów i to nawet do porodów normalnych, a to już duży krok naprzód jak na stosunki tutejsze.

Rozpowszechniajcie

„Kobietę Wiejską"

KOBIETY w ŚWIECIE

Wielu jeszcze mężczyzn niechętnie patrzy na wyzwoliny kobiety, nie chce w niej uznać równego sobie towarzysza, który ma również tęsknotę do wiedzy, do odkrywania prawd rządzących światem, jest zdolny ogarnąć i zgłębić swoim umysłem rzeczy trudne i wielkie. Zarzucają nam, że tych wybitnych umysłów jest wśród kobiet nie wiele, ale zapominają chętnie, że przecież tak niedawno mają kobiety prawo do nauki i w ogóle prawa człowiecze do pełnego rozwoju.

Jednym z takich przeciwników udziału kobiet w życiu politycznym, społecznym i naukowym jest profesor Blakfield, wykładający na Uniwersytecie Columbia w Stanach Zjednoczonych. Profesor Blakfield oburza się, że kobiety chcą odgrywać rolę kierowniczą w rozmaitych dziedzinach, że nawet chcą współzawodniczyć (o zgrozo) z mężczyzną. Poglądy swoje wygłosił w czasie jednego z wykładów, czem wywołał takie poruszenie wśród swoich słuchaczek, że 180 kobiet na znak protestu opuściło salę wykładową.

Mimo tej niechęci coraz częściej dzięki swoim nieprzeciętnym zdolnościom, ogromnej pracowitości zdobywają kobiety poważne i odpowiedzialne stanowiska na rozmaitych od cinkach. I tak:

Dr. Nanna Swarz — Malenberg jest pierwszą kobietą — profesorem na uniwersytecie szwedzkim. Otrzymała ona katedrę na wydziale medycznym instytutu Caroline w Sztokholmie i prowadzi prace badawcze z dziedziny bakteriologii.

W skład rządu indyjskiego wyłonionego przez Kongres narodowy w Bombaju weszła poraz pierwszy kobieta, p. Vijai Pandit. Objęła ona w rzadzie tekę ministra zdrowia.

Turczynka Dr Hanum Fatze która na uniwersytecie w Stambule uzyskała doktorat z działu administracji państwowej i gospodarki narodowej **została mianowana naczelna inspektorka w tureckim ministerstwie dla spraw gospodarki narodowej.**

W mieście Newton w Australii, po **raz pierwszy wybrano burmistrzem kobietę, jest nia p. Flower.**

W Akwizgranie zamianowano profesorem nadzwyczajnym docenta dr. inż. Marię Lipp.

Kobiety piastują również wybitne stanowiska polityczne. Na przewodniczącego największego stronnictwa politycznego w Anglii, tak zwanej „Partii Pracy“ (odpowiednik naszego PPS) wybrano na tegorocznym Kongresie kobietę p. Ayston Gould. Jest to już trzecia kobieta, piastująca godność przewodniczącego Partii Pracy w Anglii.

STEFA NIEMCZAKOWA

Oszczędzajmy mądrze

Przeczytawszy te słowa napewno niejedna z czytelniczek uśmiechnie się i powie: „Mnie się tego uczyć nie potrzeba, bo gdybym tylko miała z czego to potrafiłabym odłożyć na czarną godzinę, ale cóż kiedy jak powiadaja z próżnego i Salomon nie naleje. Tego grosza ciągle brak i brak i nieraz dobrze trzeba sobie głowy na łamać, dobrze się nakłopotać, aby co najpilniejsze dziury załatać. Nie o takiej oszczędności chcę mówić, kiedy aż nam pieniędzy zbywać będzie. Ale warto się zastanowić jak oszczędzać tam, gdzie pieniędzy skąpo.

Jednego razu przyglądałam się jak moja sąsiadka kupowała dzieciom na ubranie. Dla córki kupiła ładnego mongolu na bluzkę „żeby sie Józia wystroiła“ a dla 6-cio letniego Józia cajgu na krótkie spodenki i barchanu na podszewkę, „żeby ta ubranie miał mocne, bo to do codziennego noszenia“.

Zwróciłam jej uwagę, że przecież lato, w takim ubraniu będzie mu gorąco, nie wygodnie, no i do częstego prania się nie nadaje. Na to odpowiedziała mi, że nie stać jej aby mu kupić drugie na zimę, a mały i tak przecież wyrośnie. Sąsiadka moja była przekonana, że kupuje dobrze i oblicza oszczędnie.

Ja miałam inne patrzenie na to jej kupno. Od tego czasu upłynęło dwa miesiące. Siekałyśmy obie buraki u Kielara. Sąsiadka bardzo lamentowała, jak to jej Zosia wyprała wczoraj bluzkę mongolowa, mocno wykręciła, no i bluzka podarła się tak, że jej już włożyć więcej nie można. „A przecież za materię dałam aż 5 zł., 1 zł. krawczyni razem 6 zł. jakby w błoto rzucił“ biadała.

Rozgadałyśmy się obie na ten temat. Ja jej mówię, że jeśli się ma pieniędzy mało, to trzeba sie dobrze nad kupnem zastanowić i rozważyć co naprawde wypadnie tanio, ładnie i praktycznie, a nie bezkrytycznie zapatrywać się na innych i bezmyślnie naśladować. Gdybyś była kupiła na bluzke np. batystu, długo byłaby się nosiła i też wyglądałaby ładnie.

„Kiedy chciałam córkę wystroić, teraz tak się wszystkie dziewczęta noszą“ — ona na to.

Dobrze; ale kto chce jedwabie nosić musi go być na to stać i powinien je też umieć i uprać. My jesteśmy za biedne na jedwabne stroje.

A córka niech zawczasu nauczy się rozumieć, że nie strój zdobi człowieka, że na nic najpiękniejsza bluzka jeśli w głowie pusto. Teraz musisz cały tydzień chodzić do buraków, żeby te 6 zł. zarobić.

Ale popatrzmy jeszcze na Jasiowe ubranie. Czy okazało się praktyczne w noszeniu? Gdzie tam; grube, gorące, pełno w nim kurzu, nie dopuszcza do ciałka dziecka słońca, a więc ze względu i na zdrowie, niestosowne. Czy nie wygodniejsze dla dziecka i zdrowsze byłoby na lato lekkie ubranko perkalowe, a kosztowałoby tyle co sama podszewka barchanowa do tej cajgowej kapotki.

Jak widzimy, nic nie oszczedziła owa matka. Chociaż kupowała według swego obliczenia „oszczędnie“.

Mniej wagi przywiązujmy do tego błyszczenia jedwabną sukienka, ładnymi bucikami i t. p. i nie ruinujmy się na te rzeczy, kiedy nas nie stać. I tania sukienka może być ładna. jeśli jest zgrabnie uszyta, twarzowa i dostosowana do pory roku. A ta co ją nosi niech się wyróżnia szlachetnością serca, niech będzie dzielna i rozumna, to są wartości głębsze i one mogą zapewnić szczęście i powodzenie w życiu. Rywalizujmy miedzy sobą nie tym, czyja córka ma strojniejsza sukienkę, ale która jest lepiej wychowana i przygotowana do życia. To będzie naprawdę miłość matczyna. To co mamy wyrzucić na drogi strój, obróćmy na dobrą gazetę, książkę, na które dziś jeszcze kobiety — matki tak żałują grosza. Z tej książki czy gazety nauczyłaby sie Zosia jeśli już nosi jedwabną bluzeczkę, jak ją należy prać, aby długo nosić, bo to droga rzecz.

N O W I N Y

Kobiety w obronie kraju

Widmo zawieruchy wojennej stanęło przed nami. Wojna dzisiejsza toczyć się będzie nietylko na frontach, ale obejmie i ludność cywilną. Kiedy mężczyźni zostaną powołani pod broń, na wszystkich placówkach, stanowiskach wewnątrz kraju muszą ich zastąpić kobiety. Celem przygotowania kobiet do czekającej ich roli na wypadek wojny, zrzeszyło się 45 organizacyj kobiecych liczących około 1 miliona członkiń (jest to zaledwie 10% ogółu kobiet) w organizacji „Przysposobienia Wojskowego Kobiet".

Organizacja ta urządziła w końcu maja tydzień propagandy P. W. K. Imprezy i zbiórki z tego tygodnia mają na celu gromadzenie funduszów na akcję przeszkolenia kobiet, celem przygotowania ich do obrony kraju.

Jednym z najważniejszych zagadnień w czasie wojny jest sprawa wyżywienia ludności. Głód to klęska. Dlatego wielkie znaczenie ma umiejętność gospodarowania zapasami. Jest ona w rękach kobiecych, a więc my kobiety możemy w dużej mierze przyczynić się do zwycięstwa, jeśli wywiążemy się dobrze ze swego obowiązku gospodyń.

Wiele żywności w Polsce marnuje się na skutek nieumiejętnego konserwowania i przechowania.

Powołany przed rokiem Aprowizacyjny Komitet Porozumiewawczy, złożony z przedstawicielek wszystkich organizacyj kobiecych opracował plan usprawnienia aprowizacji w czasie wojny. Komitet ten widzi potrzebę zorganizowania setek tysięcy kursów żywnościowych, przetwórstwa i przechowania zapasów.

W tym celu Komitet projektuje szkolenie kadr instruktorek, któreby te kursy mogły przeprowadzać. Podobno bardzo dobrze rozwiązała tę sprawę Bułgaria. Dla wykorzystania doświadczeń bułgarskich wysłano już do tego kraju delegatki z Polski, celem dokładnego zbadania metod pracy w tej dziedzinie.

Pierwsza kobieta przewodniczącą Rady Okręgowej

Związek Spółdzielni Spożywców „Społem" posiada na całej przestrzeni Polski swoje oddziały handlowe jako hurtownie, a przy nich samorząd spółdzielczy tzw. rady okręgowe. Rad takich jest 45, a zadaniem ich jest czuwanie nad rozwojem spółdzielni w okręgu, propaganda, organizowanie spółdzielni nowych, kontrola oddziałów i opieka nad spółdzielniami. Jedna z tych rad zapewne pierwsza, mianowicie w Łowiczu, wybrała na swą przewodniczącą kobietę. Jest nią ob. Hanka Chorążyna, znana przedtem w naszym młodym ruchu wiejskim pod nazwiskiem Bieńkowska. Jest ona także członkiem Komitetu wydawniczego naszej „Kobiety Wiejskiej". Widać więc, że kobiety zdobywają swymi wartościami poważne społeczne stanowiska i powinny to czynić uparcie dalej. Koleżance Chorążynie życzymy pięknych plonów w pracy spółdzielczej.

Opuszczone dziecko odzyska rodziców

Ileż to bezdzietnych kobiet z tęsknotą a niekiedy prawie z zawiścią patrzy na szczęśliwe matki prowadzące za ręce swoje maleństwa. Dzieci śnią im się po nocach, wydaje im się, że trzymają w swojej dłoni malenkie piąstki. Budzą się i spotyka ich bolesne rozczarowanie.

Co roku przychodzi na świat w Polsce 65 tysięcy dzieci nieślubnych. I doprawdy podziwiać należy bohaterstwo opuszczonych matek, gdyż liczba porzuconych dzieci nie dochodzi nawet do 3 tysięcy (w r. 1937 — 2475). W przytułkach te „dzieci niczyje" z godziny na godzinę wyczekują swojej mamy. Nigdzie mama nie jest tak wytęskniona i oczekiwana jak u dziecka w przytułku. Ale gdy mijają lata, a mama nie zjawi się, na twarzyczkę dziecka pada cień, który czasem zamieni się w ostwartą nienawiść do społeczeństwa za to, że go tak skrzywdziło. A ileż jest kobiet samotnych, nie zamężnych, które pragną dziecka.

Do tej chwili osoby samotne nie miały prawa adoptowania dziecka. Nawet małżeństwom bezdzietnym stawiano warunki, które wielu zniechęcały. Ostatnio została przyjęta przez Sejm ustawa, która wreszcie tę sprawę pomyślnie dla dziecka reguluje i usuwa dotychczasowe braki umożliwiając mu znalezienie rodziców.

Pierwsza konferencja spółdzielni zdrowia

W dniu 30 kwietnia br. odbyła się w Warszawie w Związku Spółdzielni Rolniczych, pierwsza konferencja Spółdzielni Zdrowia w Polsce. Obecni byli przedstawiciele Zarządów i lekarze Spółdzielni Zdrowia, z: Markowej, Raczek (pow. Suwalski), Sochaczewa, Dmitrowicz (pow. Brześć), Dziatkiewicz (pow. Równe), Buska, Odrowąża (pow. konecki) oraz trzech Spółdzielni ukraińskich.

Na konferencji, w której pozatym wzięli udział delegaci Ministerstwa Opieki Społecznej, Organizacyj Rolniczych, Kół Gospodyń i Związków Młodzieży, omawiano drogi jakimi należy dążyć do podniesienia zdrowotności wsi.

Ze sprawozdań wynikało, że wszystkie Spółdzielnie walczyły z trudnościami znalezienia lekarza, które udało się jednak pokonać.

Najmniej kłopotu pod tym względem miały Spółdzielnie ukraińskie. Sprawozdania szczegółowe z pracy Spółdzielni będzie można znaleźć w specjalnej broszurze, która zostanie wkrótce wydana.

Referaty wygłosili: p. Wyszomirski, inż. I. Solarz i dr. Wł. Ciekot. P. Wyszomirski omówił co i w jakim państwie zrobiły Spółdzielnie Zdrowia.

Inż. Solarz przedstawił wielkie wartości społeczne i moralne form i prac, jakie dają Spółdzielnie Zdrowia. Omówił znaczenie Ubezpieczalni, Ośrodków Zdrowia podkreślając ich wartość, ale słusznie stwierdził że Spółdzielnie Zdrowia są wsi bliższe, bo przez nią z własnej woli i wysiłku zorganizowane.

Dr Ciekot wskazał co trzeba przestrzegać przy urządzaniu Spółdzielni Zdrowia, oraz wniósł poprawki, aby ustawa o powszechnej służbie zdrowia, przewidziała formę spółdzielczą jako jedną z ważnych placówek usuwających zły stan zdrowotny, oraz aby ustawodawstwo zezwoliło Spółdzielniom Zdrowia na prowadzenie własnych aptek.

Pierwsza ta konferencja jest ważnym wydarzeniem w polskiej spółdzielczości i dorobku chłopów. Budzi wiarę we własne siły wsi.

Prenumerata — „Kobieta Wiejska", — wynosi: kwartalnie 1·— zł półrocznie 2·— zł — rocznie 3·50

CENNIK OGŁOSZEŃ: cała strona — 200·— zł 1/2 strony 100 zł — 1/8 strony 50 zł — Za treść ogłoszeń. Redakcja nie odpowiada

Redaguje Komitet. Redaktor i Wydawca: HANNA CIEKOTOWA

Adres Redakcji i Administracji: „Kobieta Wiejska", Markowa k/Łańcuta, Spółdzielnia Zdrowia. Numer Rozrachunku 1.

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4. — Telefon 185-18.